



Nie jesteśmy instytucją, tylko prawdziwą, szczęśliwą rodziną

RODZINY ZASTĘPCZE | Zaczynają często jako wolontariusze. Chcą pomóc dzieciom z domu dziecka. Ani myślą wówczas, by swój prywatny dom zaofiarować osobom obcym. Gdy pojawia się taka propozycja, decydujący głos mają ich własne dzieci

Rodziców „zawodowych” jest coraz więcej. Umożliwiła to ustawa o pomocy społecznej i rozporządzenie ministra polityki społecznej w sprawie rodzin zastępczych. Od 2004 r. dzieci trafiają więc nie tylko do domów dziecka i pogotowia opiekuńczego, ale też do rodzin zastępczych.

Zawodowe rodziny zastępcze są albo wielodzietne (umieszcza się w nich w tym samym czasie nie mniej niż troje i nie więcej niż sześćoro dzieci), albo specjalistyczne (trafiają do nich dzieci niedostosowane społecznie albo dzieci z problemami zdrowotnymi wymagającymi szczególnej opieki i pielęgnacji; w rodzinie tej może wychowywać się w tym samym czasie nie więcej niż troje dzieci). Są też i takie, które pełnią rolę pogotowia opiekuńczego – w nich może przebywać nie więcej niż trojka dzieci do czasu unormowania ich sytuacji życiowej, nie więcej jednak niż przez 15 miesięcy. Czasem to jednak tylko teoria – niektóre zostają dłużej.

Rodzina to nie instytucja

– Nie jesteśmy instytucją, tylko rodziną – uczuła Elżbieta Kopka z podwarszawskiego Otwocka. – I choć przez nasz dom w ciągu ostatnich czterech lat przewinęło się już 18 dzieci, to inaczej niż jako rodzina postrzegani być nie chcemy.

Państwo Kopkowie mieli trójkę własnych dzieci. Oboje pracowali. Twierdzą, że nigdy nie mieliby odwagi ubiegać się o przyznanie im statusu zawodowej rodziny zastępczej. Propozycja taka przyszła z Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Otwocku, w którym pracuje Krzysztof Kopka.

– Panie zatrudnione w tym ośrodku uważały, że nadajemy się idealnie – wspomina Elżbieta Kopka. – Ich opinię potwierdził badający nas psycholog. Ale nie zdecydowali się od razu. Na specjalnym

szkoleniu dowiedzieliśmy się, z jakimi problemami możemy się borykać, gdy zostaniemy rodziną zastępczą. Tam po raz pierwszy usłyszeliśmy o różnego rodzaju chorobach, schorzeniach i patologiach, które mogą towarzyszyć przybywającym do nas malcom. Dowiedzieliśmy się o regulacjach prawnych, warunkach funkcjonowania rodziny zastępczej, o konieczności utrzymywania kontaktów z rodzicami biologicznymi przebywających u nas dzieci. Spróbowaaliśmy. Ostateczne zdanie w tej sprawie miały jednak dzieci: sześciolatnia wówczas Karolinka, ośmioletnia Asia i dwunastoletni syn Agan. Zgodziły się. I godzą się na tymczasowe rodzeństwo po dziś dzień.

Możemy mieć swoje plany

Elżbieta Kopka uważa, że największe problemy w życiu rodziny zastępczej pojawiają się nie z powodów formalnych, kontrolujących dom kuratorów czy trudnych charakterów przebywających dzieci.

Prawdziwą zmurą utrudniającą normalne funkcjonowanie mogą się okazać biologiczni rodzice.

– Na szczęście nie zdarza się to często, większość rodziców rozumie, że jak każda rodzina możemy mieć swoje plany wakacyjne, zajęcia poza domem, spotkania wśród przyjaciół – mówi. – O swoim przybyciu sprzedają więc telefonicznie, umawiają się na odwiedziny. Obecnie borykamy się jednak z pewnym panem, który robi nam „naloty” późnym wieczorem lub wczesnym rankiem. Awanturuje się niemiłosiernie, jeśli nie zastanie nas w domu. Na prośby o wcześniejsze informowanie o swoich wizytach nie reaguje. Oskarża nas pisemnie w różnego rodzaju instytucjach o łamanie jego praw rodzicielskich i zarzuca nam sprawowanie złej opieki nad jego dzieckiem. Ten człowiek dał nam tak



• Rodzinne pogotowia opiekuńcze mogą zajmować się jednocześnie nie więcej niż trojgiem powierzonych przez państwo dzieci

popalić, że dla kolejnego rodzica, którego małe trafi pod nasz dach, zastrzegłam prywatny adres. Będziemy spotykać się gdzieś na mieście.

Ciężko będzie oddać Kasię

U Kopków przebywa obecnie, prócz trójki ich własnych, czwórka dzieci: Kasia – dwa lata, Olivia – rok i trzy miesiące, Piotruś – trzy i Julek – siedem lat. I choć w rodzinie zastępczej powinny zostać nie dłużej niż 15 miesięcy, sytuacja prawna Julka jest dalej niewyjaśniona. Chłopiec nadal jest więc u Kopków, choć formalnie powinien już odejść miesiąc temu. Powiatowe Centrum Pomocy chce skierować go do domu dziecka. Państwo Kopkowie upierają się, by trafił do niewielkiej, rodzinnej placówki.

– To jednak ogromny problem – mówi Elżbieta Kopka. – Rodzinnym domów dziecka jest za mało i nie ma w nich miejsc. Tak więc, chociaż państwo deklaruje, że najważniejsze jest dobro dziecka, w praktyce trafia ono do państwowego domu dziecka, chociaż jego utrzymanie w tej instytucji jest znacznie droższe niż gdzie indziej.

U państwa Kopków nieraz były dzieci, które przedtem

przebywały w sierocińcach. – Gdy dostaliśmy siedmiomiesięczną Kasię, widać było, że miała tzw. łóżeczkowe wychowywanie – opowiada Kopka. – Nie raczkowała, nie śmiała się, nie reagowała na żadne bodźce. Była jak lalka, która tylko leży i je.

Dziś Kasia, po wielu wizytach u neurologów, psychologów i ortopedów, dogoniła rówieśników w rozwoju. – Jestem z tego bardzo dumna, bo włożyliśmy w to z całą rodziną, łącznie z naszymi dziećmi, ogrom pracy – mówi Elżbieta Kopka. – Przywiązałam się do małej mocno. Tymczasem jej pobyt u nas się kończy. Moje dzieci szukają sposobów by ją zatrzymać. Ciężko będzie oddać Kasię. Najbardziej zaskakuje mnie mój dziś już siedemnastoletni syn. Nigdy nie podejrzewałambyż jego, zbuntowanego nastolatka o tyle ciepłych uczuciach i cierpliwości wobec maluszków.

Zaczął się od wolontariatu

Państwo Monika i Janusz Kosmowscy z Warszawy prowadzą rodzinne pogotowie opiekuńcze od dwóch lat. W tym czasie przebywało u nich, i już odeszło, dziewięć dzieci. Obecnie, prócz szóstki własnych, mają

szóstkę powierzonych im przez państwo.

– Musimy dawać sobie radę – śmieje się Monika Kosmowska. – Zrezygnowałam z pracy zawodowej, by całkowicie poświęcić się malcom. Mąż pracuje, bo takie wymagania stawiane są każdej rodzinie zastępczej. Do pomocy mam czasem wolontariuszy. Przychodzą do nas ze stołecznego Ośrodka Pomocy Społecznej. Pomagają mi głównie w wyrównywaniu zaległości u powierzonych dzieci.

Kosmowscy nieprędko zdecydowali się stworzyć pogotowie rodzinne. Przedtem przez 11 lat byli wolontariuszami. Zaprzyjaźnili się z jednym z warszawskich domów dziecka i zabierali stamtąd dzieci do siebie – na święta, ferie zimowe, na wakacje. Gdy pojawiła się propozycja, by stworzyć pogotowie rodzinne, o zdanie zapytali – tak jak Kopkowie – własne dzieci.

– Nie chcieliśmy pomagać obcym, krzywdząc przy tym być może nasze pociechy – tłumaczy Monika Kosmowska. – I choć zgodziły się bez żadnych oporów, to rozmowy na ten temat często ponawiamy. Nasz dom pod wieloma względami się nie zmienił. Ale przewija się przezeń niemal co

dzień mnóstwo obcych ludzi. Wolontariusze, panie z Ośrodka Pomocy Społecznej, kuratorzy, osoby z Warszawskiego Centrum Pomocy Rodzinie, czasem dziennikarze. Dzieci jednak, z wyjątkiem najmłodszego, mamy już niemal dorosłe. Wiele rozumieją.

Najtrudniejszy jest jednak moment rozstań z naszymi podopiecznymi. Choć liczyliśmy się z takimi sytuacjami, to rozstania nie są łatwe ani dla tych dzieci, które odchodzą, ani dla tych, które zostają. Prawdziwym sprawdzianem, czy umiemy kontrolować emocje, była dla nas opieka nad pierwszą powierzoną nam dziewczynką, Oleńką. Przyszła do nas, gdy miała dziesięć dni. Nowych opiekunów znalazła jako dziesięciomiesięczne dziecko. Zawsze będę pamiętała, jak garnęła się do mnie i nie chciała odejść. Każde z dzieci, które po pobycie u nas znajduje sobie nowy dom, zostaje w naszych sercach. Gdy bardzo tęsknimy, dzwoniemy do nich, czasem udaje się nam z nimi zobaczyć. Tłumaczymy malcom z obu domów, że są dla siebie nawzajem jak cioteczne rodzeństwo. A kuzyni nie mieszkają razem, tylko spotykają się od czasu do czasu.

–mj-l.

Sprawy o przysposobienie (adopcję) orzeczone w sądach rodzinnych w Polsce

